

## Zima McKane'a

Pomieszczenie było tak samo ciemne jak przez ostatnie dwa tygodnie.

Aby oszczędzać zapasy lampa była uruchamiana tylko do posiłków i w zasadzie głównie po to aby nie zwariować.

Człowiek nie jest istotą stworzoną do życia bez światła. Wystarczającą mordęgą było siedzenie w ciasnym pomieszczeniu od dwóch miesięcy, praktycznie o głodzie i chłodzie. Przetrzymanie kolejnych pięciu tygodni wydawało się niemożliwe. Nafta i gaz były prawie na wyczerpaniu. Wody zostało niewiele i decyzja o tym, że nie wypije więcej niż litr dziennie zapadła już przed miesiącem. Na całe szczęście ma zapas wina, więc nie umrze z pragnienia, jedynie permanentny kac może obrzydzić do reszty czas spędzony w tej norze. Do jedzenia zostało tylko kilkanaście puszek z konserwami i sporo różnych nasion, które jednak aby do czegoś się nadawały potrzebowały tak bardzo brakującej wody. Próbował je namaczać w winie, jednak rezultat był tak obrzydliwy, że powróci do tej praktyki tylko w ostateczności aby uchronić się przed śmiercią głodową.

W wolnych chwilach McKane zastanawiał się czy i tym razem uda mu się przetrzymać całą zimę w tej kryjówce. Spędził tu już dwie poprzednie, co przy porównaniu iż wcześniej musiał zmieniać lokum co rok było niezłym osiągnięciem.

Jego azyl stanowiło niewielkie pomieszczenie techniczne, na piątym poziomie zawałonego, podziemnego parkingu przy starym centrum handlowym. Trafił tu całkiem przypadkiem gdy uciekał przed jakąś grupą na którą natknął się szukając czegoś użytecznego w ruinach magazynów centrum. Było to wiosną, prawie trzy lata wcześniej. Przez pół roku zajmował się urządzeniem tego składziku w taki sposób aby zapewniał jak najwięcej wygody i komfortu. Także odgruzowanie przejścia aby nie było łatwo tu trafić pochłonęło wiele wysiłku. Gdzie tylko się dało zastawiał pułapki, które uchroniły go już od kilku wścibskich odwiedzin.

Ta kryjówka była tak dobra, że niepotrzebnie nie narażał jej na zdemaskowanie. Niejednokrotnie zdarzało mu się nie wracać całymi tygodniami tylko dlatego, że wkoło kręcili się ludzie z psami. Ktoś mógłby go zauważyć, a psy z pewnością wskazałyby drogę do jego azylu. Nie mógł ryzykować. Samo centrum handlowe, mimo że mocno zniszczone było całkiem niezłym miejscem do zaopatrzenia. Wszystkie meble i żywność miał właśnie stamtąd. O ile te pierwsze nie były cennym łupem dla większości to żywność była bardzo pożądana. Przez wszystkich. Kiedy tylko ostatniego lata zorientował się, że ktoś jeszcze korzysta z jego magazynu postanowił zlikwidować problem. Czaił się przez ponad tydzień w pozostałościach niedalekiego budynku dopóki nie pojawi się złodziej. Niestety okazało się, że jest ich cała grupa. Dwóch czy trzech miał szansę wykończyć. Z dwunastoma nie miał najmniejszych szans. Taka liczba osób regularnie odwiedzających okolice stanowiła nie lada zagrożenie. Któregoś razu mogli wpaść na pomysł aby idąc się na parking w poszukiwaniu paliwa. Nie mógł na to pozwolić. To co mu pozostało to przeniesienie jak najwięcej żywności w inne miejsce, a resztę spalić. Tak właśnie robiło wiele band. To czego nie mogli zabrać ze sobą palili i ruszali dalej.

Wszystko co mógł ukrył w piwnicy w bloku przecznicy dalej. Nie miał pewności że tam będzie bezpieczna. Wiedział jednak, że to jego jedyna nadzieja i że ten zapas pozwoli mu przetrwać kolejną zimę.

Z braku innego zajęcia postanowił się znowu przespać.

- Na boga ile człowiek może spać? - zamruczał do siebie zasypiając.

Obudził się po kilku godzinach. Znowu dawał o sobie znać głód. Zapalił lampę i podszedł do szafki z jedzeniem. Policzył dokładnie. Zostało mu 38 małych i 16 dużych puszek. Jeśli zima się nie przedłuży to powinien przeżyć. Oczywiście nie zapomniał o prawie stu kilogramach grochu, fasoli i kaszy. Wolał jednak nie wspominać ich smaku nasączonych winem. Postanowił tym razem zjeść ciepły posiłek. Uznał, że raz na kilka dni nie będzie przesadą. Podpalił turystyczną kuchenkę i postawił na niej garnek z zawartością jednej z puszek. Jako, że wszystkie puszki pozbawione były etykiet posiłek zawsze był loterią. Co prawda niektóre posiłki można było rozpoznać po tym jak chlupotały wewnątrz, ale on wolał zabawiać się sam ze sobą w zgadywanke. Niestety na ogół przegrywał, gdyż ciągle miał ochotę na jakieś konkretne mięso a nie na mielonkę.

Przechodząc obok lustra zauważył, że warto już podciąć brodę, bo niedługo zacznie wyglądać jak jakiś antyczny grecki mędrzec. Poszukał nożyczek i skrócił ją tak bardzo jak się dało. Nie golił się całą zimę, bo szkoda na to było cennej wody.

Największym problemem jaki musiał rozwiązać przed wprowadzeniem się tutaj było pozbywanie się odchodów. Z doświadczenia wiedział, że trzymanie ich w tym samym pomieszczeniu nie jest

rozsądne. Wcześniej udawało mu się spędzać zimy w miejscach gdzie jako tako działały sanitariaty. Tutaj nie było ich wcale. Rozwiązanie pojawiło się całkiem przypadkiem. Przechodząc kiedyś przez mniej zniszczoną część parkingu zauważył, że bak przewróconego '56 International'a przypomina wielką beczkę. Jedynym kłopotem jest to, że musi załatwiać się prawie pod sufitem tak aby grawitacja zrobiła swoje.

Mielonka nie była taka najgorsza. Miał wrażenie, że tym razem trafił na wołową co było całkiem miłą odmianą. Po zjedzeniu i starannym oblizaniu garnka i puszki - to po to aby resztki nie psuły się i nie śmierdziały - postanowił szybko rzucić okiem na swoją broń. Nie robił tego już od ponad dwóch tygodni, więc uznał, że warto sprawdzić, czy nic nie zaśniedziało. Po wyciągnięciu M14 ze stojaka nad łóżkiem wrócił do stołu i szybkimi ruchami sprawdził czy wszystkie elementy działają tak jak powinny. Karabin był standardowym wyposażeniem jego oddziału Gwardii Narodowej. Mimo, że klika razy trafiła się sposobność jego zamiany na inną broń to nigdy tego nie zrobił. Ten karabin był dla niego niczym brat i jeszcze nigdy nie zawiódł.

- Dostyc tego dobrego - powiedział na głos poczym odstawił broń na miejsce.

Korciło go jeszcze aby sprawdzić jak wygląda sytuacja na zewnątrz, ale instynktownie wiedział, że nie ma tam czego szukać, że wciąż jest zimno jak diabli i każde otwarcie drzwi tylko wychłodzi jego kryjówkę obitą styropianem i wykładziną. Pozwalało mu to zachować w miarę przyjazną temperaturę. Niewątpliwym sprzymierzeńcem była także głębokość na jakiej się znajdował. Mróz niewspierany wiatrem nie miał łatwej drogi aby tu dotrzeć.

Pozostało spać i spać. Jeszcze tylko miesiąc.

Zimy nadchodzą bardzo gwałtownie. Z dnia na dzień temperatura spada o kilkadziesiąt stopni i okrywa wszystko śniegiem. Nikt nie jest w stanie określić kiedy nadchodzi poza tym, że w listopadzie. Na ogół trwa nieco ponad trzy miesiące. Trzy piekielnie długie miesiące w trakcie których trzeba siedzieć w zamknięciu i modlić się aby jakaś grupa zmotoryzowanych desperatów nie spróbowała wywalić Cię z twojego schronienia. McKane'owi zdarzyło się to raz. I to, że jeszcze żyje zawdzięcza tylko podwójnemu szczęściu. Po pierwsze idioci, którzy postanowili zająć jego lokum cztery zimy wcześniej byli na tyle głupi aby narobić dosyć hałasu aby miał czas spakować najpotrzebniejsze rzeczy i zwać tylnym wyjściem. Po drugie zima skończyła się po zaledwie dwóch następnym dniach tak szybko jak się pojawiła. Okutany w grube futra wytrzymał schowany w jakiejś piwnicy parę ulic dalej.

Mroźne noce podczas, których wsłuchiwał się w każdy odgłos, nie pozwalał sobie zasnąć nawet na sekundę i błagał zarówno Boga jak i diabła aby nie dane mu było odmrozić sobie nóg, uzmysłowiły mu jak ważne jest dobieranie sobie odpowiedniej kryjówki. Mrożone szczury, którymi się żywił i pozostawiony niemal cały dobytek były lekcją jaką pamięta się przez całe życie.

Była to nauczka nawet lepsza od tej, że nie warto już nikomu ufać i że najlepiej radzić sobie samemu. Na samym początku uważał, że najlepiej jest trzymać się z kimś kto będzie osłaniał twoje plecy i zawsze miał baczenie na to co się dzieje kiedy ty pakujesz żarcie do worka, albo musisz wreszcie się przespać w niezbyt przyjemnej okolicy. Trzy razy zaufał i trzy razy wystawili go do wiatru. Po trzecim razie powiedział sobie nigdy więcej.

Pierwszym zdrajcą okazał się niejaki Doug. Podobno pochodził z północy i uciekł na południe zaraz na początku pierwszej zimy. Niezbyt gadatliwy ale dobry strzelec. Bez względu na to co robił nosił czerwoną czapkę z daszkiem. Czy spał, czy jadł, czy obracał jakąś panienkę, zawsze był w czapce. Kiedyś po butelce samogonu zdradził, iż ma tam paskudną bliznę, której nabawił się jeszcze w czasach dzieciństwa. Jadąc na rowerze zahaczył o wystający pręt, który oskalpował mu prawie połowę głowy. Jednak mimo próśb nie chciał jej zdjąć i pokazać.

Włączyli się razem przez ponad pół roku, spędzając ze sobą jedną zimę. Trafili całkiem nieźle, bo na dom w dzielnicy zamieszkiwanej przez klasę średnią. Musiał należeć do jakiegoś wariata, który postanowił wybudować sobie w ogródku schron atomowy. Wyposażony był prawie kompletnie. Brakowało tylko elektryczności i musieli sobie radzić z ogrzewaniem i oświetleniem za pomocą benzyny pospuszczanej z okolicznych samochodów. Jedzenia im nie brakowało, choć to co zostawili z pewnością nie wystarczyłoby na kolejną zimę.

Doug w jednej z niewielu chwil gadatliwości opowiadał, że w młodości grywał w baseball i był gwiazdą w swojej okolicy. Wspominał jak to w momencie gdy brał kij do ręki wszyscy cofali się o kilkadziesiąt metrów, a i tak po każdym uderzeniu powoli obiegał wszystkie bazy. Był niepokonany. Każdy chciał się z nim przyjaźnić a wszystkie dziewczyny chciały się z nim umawiać. Jednak pod koniec liceum złamał

sobie rękę i nie zakwalifikował się do drużyny w college'u co pozbawiło go stypendium i możliwości nauki. Zaczął więc pracować jako sprzedawca sprzętu rolniczego, a wszystkie wolne chwile spędzał na polowaniach. Stąd jego umiejętności.

Kiedy przestał być gwiazdą, przestał być także ulubieńcem dziewcząt. Od tej pory umówienie się na randkę nie było takie łatwe, a i dziewczyny które się zgodziły były jakby nieco brzydsze. Jak to jednak mówią szukajcie a znajdziecie i w końcu Doug znalazł wybraną swojego serca. Po kilku miesiącach narzeczeństwa wzięli ślub i zamieszkali w małym domku na przedmieściach. Jednak sielanka szybko minęła. Patty - bo tak miała na imię żona Douga - ciągle wymagała czegoś nowego, a to samochód, a to nowa lodówka, pralka, meble itd. Doug brał nadgodziny, pracował w soboty i zarabiał całkiem nieźle, a wszystko po to aby spełnić jej zachcianki. Niestety to wszystko widać nie wystarczyło bo pewnego dnia po powrocie z pracy żona oświadczyła mu, że odchodzi i że wniosła pozew o rozwód. Gdy tylko wypowiedziała te słowa ubrała się i wyszła z domu wsiadając do sportowego, europejskiego auta, które podjechało w międzyczasie. Nowym wybrankiem okazał się być jakiś serialowy aktor, którego stać było na rozmaite zachcianki Patty.

McKane także odszedł od Douga. W majowy poranek przeszukiwali stację kolejową. Okolice jak i sam budynek wydawały się puste, więc aby nie tracić czasu postanowili się rozdzielić. Niestety McKane nie miał za wiele szczęścia i kiedy przechodził przez poczekalnię zaskoczyło go czterech mężczyzn. Doszło do bójki i strzelaniny. Wszyscy czterej zginęli, jednak nie sprzedali skóry tanio. Złamane żebro i przestrzelone ramię długo dawały się we znaki. Nie zareagował. Nie przybiegł z pomocą ani po pierwszym strzale, ani po okrzykach McKane, nie ściągnęły go też kolejne strzały. Olał towarzysza. McKane zaproponował aby rozstali się w pokoju. Doug zgodził się bez mrugnięcia okiem i bez słowa przeprosin.

Obudziwszy się po kilku godzinach, spoglądając w czerń pokoju, zastanawiał się czy w miłych z początku snach zawsze pojawiają się osoby, których nie cierpi.

Momentami wydawało mu się, że zwariuje jeśli spędzi tu jeszcze choćby godzinę. Chciał rzucić wszystko w diabły i wyjść na zewnątrz. Odetchnąć niestęchniętym powietrzem i zapolować na coś większego niż szczury pałające się po parkingu. Musiał coś ze sobą zrobić. Ileż do cholery można leżeć i spać i myśleć. Już nie miał o czym myśleć. Wspominać przeszłości chciał bo często było to bolesne lub co najmniej niemiłe. Planować tego co będzie robił gdy skończy się zima nie zamierzał. W ogóle snucie jakichkolwiek planów w tym świecie wydawało się nie mieć sensu. W każdej chwili mogłeś zarobić kulkę od jakiegoś świra lub mogła cię poszatkować lub co gorsza zeżreć jakaś banda idiotów. W najlepszym razie mogli cię okraść i zostawić na pastwę losu, bandytów, dzikich zwierząt lub zimy. Nic miłego.

Podniósł się z łóżka i zapalił lampę. Stwierdził, że może czytanie pozwoli mu się nieco odprężyć. Kiedyś prawie w ogóle nie zaglądał do książek innych niż te do których musiał. Jednak od kiedy nie ma telewizji, radia, knajp i innych ludzi zaczął czytywać. Co prawda żał mu nieco było nafty ale zmniejszył płomień i uznał że jakoś to będzie. Sięgnął z półki "Wojnę i Pokój" otwierając na 235 stronie i oddał się lekturze.

Hałas wyrwał go ze snu.

- Cholera - zaklął cicho na widok palącej się lampy, zły na siebie, że zasnął przy zapalonym świetle. Pozwoliło mu to jednak szybko i bezbłędnie sięgnąć po broń. Odbezpieczył zamek i stanął na przeciw drzwi zamierzając zastrzelić cokolwiek tylko odważy się je sforsować. Kolejne sekundy płynęły powoli niczym godziny, słyszał bicie swojego serca, które mimo braku wysiłku waliło jak opętane. Krew pulsowała mu w skroniach jakby miała rozwalić czaszkę. Czekał w napięciu na to co się wydarzy. Minęła minuta, potem dwie. Do tej pory jego zimowy pobyt tutaj był niczym nie zakłócany. Nic nie dawało mu powodów do niepokoju i niemal zapomniał co to strach. Kolejne odgłosy nie dochodziły i napięcie powoli ustępowało. Możliwe że się przesłyszał, albo że szczur coś strącił i narobił hałasu. Bił się z myślami czy wyjść i sprawdzić czy też nie upewniać kogoś, że lokal jest zamieszkały. Na razie czekał.

Po trzech godzinach miał dość. Dalsze czekanie nie miało żadnego sensu. Uznał, że może przyjąć teorię o szczurze i wrócić do łóżka. Zgasił lampę i położył się, tym razem jednak z karabinem w dłoni. Tym razem sen jednak długo nie nadchodził. Leżał i spoglądał przed siebie mimo, że otaczała go tylko ciemność. Przez chwilę pomyślał, że przydałyby mu się robaczki świętojańskie. Karmiłby je fasolą a one za to świeciłyby mu. No i miałyby do kogo pogadać.

Charles był drugim osobnikiem, z którym McKane postanowił wejść w spółkę. Typowy urzędniczy, który miał ogromnego farta i jakoś dawał sobie radę. Strzelec był z niego kiepski, a i tężyzna fizyczna

nie predysponowała go do miana siłacza. Miał jednak łeb na karku i nieźle gadane. Kilka razy zamiast walki, dzięki jego umiejętności, udało im się dogadać z potencjalnymi przeciwnikami.

Charles stracił całą swoją rodzinę. Miał trójkę dzieci i żonę pielęgniarkę. Opowiadał, że była to jego szkolna miłość i że gdyby nie cały ten burdel to pewnie byłby razem do końca życia.

Nie wymagał wiele od świata - ot ciepłej strawy od czasu do czasu i spokojnego kąta do spania. W ciągu lata zabunkrowali się w lesie i żywili się tym co upolowali. Od czasu do czasu wymieniali mięso na nieco chleba z farmerami w okolicy. W sumie to były farmerskie klany mieszkające w czymś na wzór fortu. Na wieży dzień i noc siedział snajper i strzelał do wszystkich, którzy chcieli zbliżyć się do pola. Handel to był pomysł Charlesa i to on nawiązał z nimi kontakt. Pomysł był szalony i ciekawy zarazem. Poszedł do niech ciągnąc za sobą upolowanego dzika. Prawie odstrzelili mu łeb, ale zaimprovizowana z koszulki biała flaga uratowała mu życie. Chudy facet w okularach ledwo taszczyący za sobą dzika nie mógł być zagrożeniem dla dwunastoosobowej osady. McKane i Charles handlowali z nimi przez parę miesięcy, aż pewnego dnia zastali tylko zgłiszcza i klika zwęglonych ciał. W tym samym momencie postanowili opuścić swoją myśliwską chatę i wynieść się w jakieś inne miejsce. Trzeba też było powoli szukać schronienia na zimę.

Idealne wydało im się "Klonowe Osiedle", niedokończona inwestycja budowlana. Kilkadziesiąt identycznych domków jednorodzinnych, z których ledwie połowa miała dach a tylko trzy okna i drzwi. Przez dwa tygodnie znosili zapasy i przygotowywali dom na zimę. Na tyłach pobliskiego sklepu znaleźli kilka rowerów i części do nich więc postanowili sklecić do nich wózki. Wożenie paliwa było nieco prostsze i wygodniejsze.

Zima była wyjątkowo ostra i dosyć szybko postanowili przenieść się do piwnicy. Przez ostatni tydzień ogrzewali się drewnem z całego domu. Rozebrali wszystkie ścianki i podłogi, ale udało im się przetrwać.

Wiosna była wyjątkowo ładna, postanowili więc ruszyć na północ mając nadzieję, że tam będzie mniej ludzi. Faktycznie nie widzieli oznak istot ludzkich przez dobry miesiąc. Jednak to na co natrafili w pełni ich zaskoczyło. Natrafili na miasteczko Woodrock. W pełni funkcjonującą społeczność ponad 60 osób. Ludzie byli mili i gościnni. Pozwolili im zostać pod warunkiem, że oddadzą broń. Zgodzili się bez wahania. Tubylcy utrzymywali się z hodowli świń i zboża. Niedaleka elektrownia była źródłem opału na zimę, którą wszyscy spędzali w budynku szkoły. Na potrzeby trzody przerobiona była sala gimnastyczna.

Obydwoj dostali przydział pracy na polu i wspólny dom. McKane myślał sobie, że nawet mógłby się tu osiedlić. Mieszkało tu kilka ładnych dziewczyn a bandyci trzymali się z daleka.

Po kolejnym miesiącu zaczęły po osadzie krążyć plotki, że wśród mieszkańców jest złodziej. Ludziom ginęły drobne, mniej lub bardziej wartościowe rzeczy. Mimo, że nikt już nie używał pieniędzy i nic z tych przedmiotów nie dałoby się spieniężyć to część z nich miała wartość sentymentalną. Wspólnie podjęto decyzję o przeszukaniu wszystkich domów. Zaczęto oczywiście od tego zamieszkiwanego przez nowych.

Pod jedną z desek w kuchni szybko odkryto skrytkę, w której znajdowała się spora część tego co zaginęło. McKane nie miał szans przegadać Charlesa, który w typowy dla siebie sposób wyparł się wszystkiego.

Dostał swoją broń, nieco żywności i zapowiedź, że zastrzelą go jak tylko zobaczą następnym razem.

Tym razem obudził go ból ramienia. Stęknął i otworzył oczy.

- Przeklęta ciemnica – niemal krzyknął i wymacał latarkę.

Tak jak się spodziewał karabin wbijał mu się w rękę, obcierając skórę i wywołując krwawy wykwit pod skórą. Minęło już ponad 6 godzin od kiedy zasnął. Najwyższy czas aby nieco rozprostować kości i zabrać się za następną konserwę. Tym razem na zimno. Zapalił lampę, ustawiając minimalny płomień, tak tylko aby w nic nie wejść i nie nabić sobie kolejnego guza. Włożył rękę do szafki i wyciągnął małą puszkę. Pasztet. Uznał, że najlepsze będzie białe wino. Uśmiechnął się na myśl, że cała ta sytuacja sprawiła, iż zachowuje się niemal jak kiedyś bohaterowi z filmów o arystokratkach. Kto normalny jadłby pasztet z winem. Ale co dzisiaj jest normalne. Odkorkował butelkę i nie zwracając sobie głowy szklanką wypił spory łyk. Potem drugi i trzeci. Robiąc krótką przerwę na pasztet uznał, że ma ochotę się upić. Kolejnym łykiem dokończył zawartość butelki i poszedł po następną. Wyciągnawszy rękę, zdecydował, że weźmie dwie na raz. Wrócił na łóżko, odkorkował obydwie butelki i nim był w połowie pierwszej z nich skończył jeść pasztet. Delikatnie zdmuchnął lampę i powoli sączył wino po ciemku. Zasnął przed końcem trzeciej.

Kolejne dwa dni to ciężki kac po przebudzeniu, gulasz, fasola z mięsem i ponad pięćdziesiąt stron lektury. Zagłębiając się w ciemności pomyślał, że warto nieco się przemyć. Wyciągnawszy ręcznik polał go nieco wodą, winem i odrobiną benzyny. Na porządną kąpiel musi poczekać, aż skończą się

mrozy, dlatego teraz ograniczał się jedynie do przetarcia wilgotnym ręcznikiem całego ciała i wysmarowania go wazeliną. Rozebrawszy się zauważył, że ta zima odcisnęła na jego ciele większe piętno niż poprzednie. Ograniczone racje żywności sprawiły, że stracił co najmniej 10 kilo. Będzie musiał to wszystko nadrobić. Niebawem będzie też musiał wrócić do ćwiczeń. Na razie zdecydował się je ograniczyć aby nie tracić tak potrzebnej energii, jednak jeśli chce być gotowy na wszystko co go czeka na zewnątrz musi się wkrótce za siebie wziąć. Założywszy czystą bieliznę wrócił do łóżka. Położył się na plecach i trzymając dłonie pod głową mimowolnie macał bliznę jakiej nabawił się na rok przed przybyciem na parking.

McKane poznał Franka podczas letniej burzy, intuicja podpowiedziała obydwu aby schronili się na tej samej stacji benzynowej. Weszli dosłownie w tej samej chwili przez drzwi po przeciwnych stronach budynku. Widać było, że Życie nauczyło obydwu całkiem sporo. Przez ponad pół godziny stali naprzeciw siebie trzymając się nawzajem na muszce i zerkając na boki czy nie zbliżają się kumple tego drugiego. Choć prawdę mówiąc przez strugi deszczu trudno było dostrzec cokolwiek, Uznawszy, że to sytuacja jeden na jednego Frank zagał rozmowę i zaproponował, że każdy zajmie pół lokalu a po burzy pójdą w swoją stronę. McKane miał tyle szczęścia, że po jego stronie była chłodnia. Pech jednak chciał, że była zaryglowana i mimo niemałej siły nie chciała się otworzyć, Słyszac stękania i głośnie sapanie przebijające się nawet przez spadające krople deszczu i raz po raz grzmącą burzę, Frank zaoferował swoją pomoc. Dopiero za szóstym razem usłyszał łaskawą zgodę.

Wspólnymi siłami otworzyli drzwi. W pierwszej chwili odrzucił ich odór stęchlizny i zgnitego mięsa. Na szczęście okazało się, że w pomieszczeniu są także konserwy. Przelamawszy przy posiłku pierwsze lody dogadali się, że zmierzają mniej więcej w tym samym kierunku. Postanowili, że po burzy ruszą dalej razem.

Padają już od tygodnia. Dostyc czasu aby porządnie odpocząć, napełnić brzuchy i dowiedzieć się całkiem sporo o sobie nawzajem. Frank nie był nikim szczególnym. Przez dwa lata był na wojnie, był kierowcą i w prawdziwej akcji brał udział zaledwie kilka razy, głównie przy ewakuacji oddziałów. Po skończeniu służby wrócił do rodzinnego miasta i został taksówkarzem. Lubił jeździć autem i bardzo mu tego teraz brakowało. Nie miał żony i dzieci, a jego najbliższą rodziną był starszy brat, który zginął zaraz na samym początku. Przemierzał kraj licząc, że uda mu się znaleźć miejsce gdzie można żyć w miarę normalnie nie martwiąc się przez cały czas, że ktoś Cię zastrzeli. Kolejne dwa dni zwiastowały, że pogoda się poprawi. Faktycznie, trzeciego dnia o deszczu przypominało tylko błoto i rześkie powietrze.

Zjedli suty posiłek, spakowali zapas jedzenia i nieco narzędzi i zdecydowali ruszyć na wschód. McKane przechodząc przez drzwi poczuł nagle silny ból z tyłu czaszki. Momentalnie pociemniało mu przed oczami. Próbował chwycić się czegoś ręką aby nie stracić równowagi, jednak silny kopniak pod zebro skutecznie to uniemożliwił. Padając bezwładnie twarzą na ziemię najadł się piachu. Poczut jeszcze uderzenie w plecy, po czym stracił przytomność. Z głowy lała się krew.

Obudził się koło południa. Właściwie to obudził go jakiś ptak liczący na świeży posiłek na trupie. Powoli podniósł się na nogi i rozejrzał dookoła. Bolała głowa szybko dała o sobie znać i zmusiła go do przyjęcia siedzącej pozycji. Powoli obmacał ręką tył głowy. Kość wydawała się być cała choć krwi było mnóstwo a guz był wielkości połowy jabłka. Rozejrzał się wokoło. Nie było ani plecaka ani M14. To dobrze – pomyślał – Frankowi będzie ciężiej. Wrócił szybko do budynku i zza szafki wyciągnął Colta 9mm. Będzie musiał wystarczyć. Na półkach znalazł torbę na ramię do której zapakował nieco pozostałego jedzenia i wodę.

Znalezienie śladów Franka nie było trudne na mokrej ziemi. Ruszył za nim. Przystawał każdej nocy aby nadrabiać stracony czas w dzień. Podróż nocą była zbyt niebezpieczna, mógł się natknąć na obozowisko Franka i tym razem faktycznie źle skończyć. Trzeciego dnia o świcie w końcu go wypatrzył. Miał do pokonania zaledwie 500 metrów, a jego niedoszły zabójca wciąż spał. Powoli i bardzo cicho zbliżył się do niego. Doświadczenie z czasów polowań w lesie bardzo się przydało.

- Frank! – krzyknął – Obudź się!

- Nnnie, proszę – wydusił z siebie Frank. Spoglądał na sylwetkę w górze. Jedyne co widział to broń kilka centymetrów od swojej twarzy i stojąca nad nim okraciem postać.

- Takie sprawy trzeba załatwiać porządnie – powiedział McKane pociągając za spust. Echo rozeszło się po całej okolicy.

Zerwał się i usiadł na łóżku. Teraz był pewien, że coś słyszał. I znowu. Coś hałasowało pod jego drzwiami. Zapalił lampę, chwycił karabin i stanął naprzeciw drzwi. Tym razem nie może odpuścić. Powoli zaczął zdejmować zasuwę.